

ROZDZIAŁ III

Bassenheim i Siegburg

Pod koniec 1940 roku zostałem z powrotem przetransportowany do Poznania. Jechałem w asyście dwóch policjantów, skuty w kajdankach, normalnym, osobowym pociągiem. Początkowo zostałem osadzony w więzieniu przy ul. Młyńskiej w Poznaniu i tam oczekiwałem na powtórkę rozprawy przed sądem specjalnym. Mniej więcej po około dwóch, trzech tygodniach odbyła się rozprawa i otrzymałem wyrok uniewinniający¹. Niewiele zmieniło to moją sytuację życiową. O wolności mogłem tylko pomarzyć... Po paru dniach przewieziono mnie do punktu zbornego więźniów w forcie zwanym Czerwoną Krową. Jednym słowem, historia zataczała koło... Przecież to wszystko już raz przechodziłem... W niecały tydzień zorganizowano nowy transport więźniów do Niemiec. Tam potrzebna była siła robocza i nieważne, czy przyjmowała ona postać więźniów z wyrokami czy bez wyroków, czy też dotyczyła tylko tzw. robotników przymusowych.

W transporcie było nas może 600–700 osób. Zostałem wywieziony w wagonach towarowych, w których uprzednio przewożone było bydło. Zresztą, pozostałości po ostatnim transporcie były widoczne w wielu miejscach wagonu. W jednym wagonie było nas około 80 osób. Jechaliśmy prawie dwa dni, w warunkach dobrze mi znanych z poprzedniej podróży. Znowu brak jedzenia i picia, brak przerw w podróży, podobnie też trzeba było zachowywać się w wagonie, gdy otwierano drzwi...

Pociąg zatrzymał się około 30–40 kilometrów za dużym miastem, jak się później dowiedziałem było to Köln (Kolonia). Zostaliśmy wyładowani na niewielkiej stacyjce z rampą. Sam wyładunek z transportu właściwie niczym się nie różnił od tego w Papenburgu. Widocznie obowiązywały w tej materii ogólnokrajowe procedury i standardy. Po uformowaniu kolumn, popędzono

¹ Patrz zał. nr 2 – Zaświadczenie Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich; Norbert Widok wyrokiem sądu (*Sondergericht*) z dn. 1 listopada 1940 r. został uniewinniony.

nas w kierunku niewielkiej miejscowości Bassenheim. Towarzyszyła nam, dobrze mi znana, eskorta esesmanów i ich psów, a także tak dobrze znane mi wrzaski, bicie, popędzanie i strzały...

Po przejściu około 2–3 kilometrów dobrnęliśmy do niewielkiego, jak na hitlerowski rozmach, obozu położonego w ładnej, górskiej okolicy, na stoku góry. Było tam może z 6–8 baraków. Obóz ten był otoczony podwójnym płotem z drutu kolczastego. W jednym z tych płotów były też druty na izolatorach i pod wysokim napięciem. Około 5 metrów przed płotem leżał zrolowany wałek z drutu kolczastego. W ten sposób było oznaczone pole, do którego nie wolno było się nikomu zbliżać.

Przyjęcie do obozu też odbywało się według znanych mi wcześniej procedur. Najpierw staliśmy kilka godzin na niewielkim placu w pobliżu głównej drogi lagrowej. Potem, stojąc w długiej kolejce przed magazynem depozytów, musieliśmy zdjąć całą naszą odzież, ułożyć, a rzeczy wartościowe położyć na wierzchu. Potem kolejno, już nago, podchodziliśmy do sztabowych pisarzy, którzy wpisywali rzeczy wartościowe do kartotek depozytu, a pozostałe cywilne „ciuchy” były rzucane na jedną wielką pryzmę. Po załatwieniu spraw związanych z depozytem, przechodziliśmy do tzw. łaźni.

W łaźni byliśmy poddani dokładnej rewizji higienicznej, podobnie jak to było w Papenburgu... Warunki były tam bardzo nieprzyjemne i trwało to bardzo długo. Myśmy jechali prawie dwie doby bez jedzenia i picia, a teraz musieliśmy czekać i czekać... Wyjść z szeregu nie było wolno... Bo, gdyby ktoś wyszedł, to zaraz byłby poszczuty psami, które trzymali esesmani... Także i inni funkcyjni rwali się do „pracy”, bo zaczęli marznąć, zresztą podobnie jak my wszyscy... Nie było innego wyjścia, więc staliśmy potulni i czekaliśmy na swoją kolejkę...

Po przeglądzie i sprawdzeniu, że żadnych wartościowych rzeczy nie mamy przy sobie, nadano nam numer. Była to okrągła blaszka z wybitym numerem, na grubej nitce, którą wieszało się na piersi. W tym punkcie procedura wyraźnie różniła się od przyjętej w Papenburgu, gdzie numer nadawano nam wypisując go kopiaowym ołówkiem na piersiach. Od tego momentu staliśmy się numerami, a nie ludźmi posiadającymi swoje imię i nazwisko. W tym punkcie procedura i przepis nie różniły się od siebie w obydwu obozach.

Dalej szliśmy do fryzjera... Typowe ogolenie głowy na tzw. zero, a także ogolenie włosów pod pachami i w kroczu. Fryzjerzy-więźniowie mieli tępe narzędzia, powodowało to prawdziwe męczarnie. Ranili nas boleśnie i trzeba było cierpieć...

Później poszliśmy do tzw. dezynfekcji. Tym razem była to duża kadź, prawdopodobnie z lizolem, do której wchodziliśmy po 4–5 i trzeba było się w niej całkowicie zanurzać... Szczypało niemiłosiernie w oczy i wszędzie...

Kawałeczek dalej leżały stopy różnych rzeczy, z których wydawano nam obozowe ubiory. Ubrania to tzw. typowe pasiaki. Ponadto każdy dostawał majtki, koszulę, bluzę, spodnie, onuce i do tego buty. Buty były na drewnianej podeszwie, obite skórą. Niektórzy, jak mieli szczęście, dostali buty całe obite skórą, a niektórzy tylko takie pantofle. Z tym przechodziliśmy dalej i znów musieliśmy czekać...

Gdy zebrała się grupka około 20 osób, poszliśmy główną ulicą, tzw. *Lagerstraße*, i stanęliśmy przed barakami. Tam czekaliśmy aż się zbierze 200–300 osób... Następnie *Blockführer* wyczytywał numery z podziałem na poszczególne „bloki”, czyli baraki i „sztuby”, czyli pokoje. Ja zostałem przydzielony do baraku III, gdzie blokowym był taki mały Ślązak o nazwisku Białek, i na ostatnią 4 sztubę, czyli pokój nr 4. Było tam nas około 30–40 osób. Sztubowym był Lucjan Czosnowski, który przed wojną był mieszkańcem Kiszkowa, a nasi ojcowie bardzo dobrze się znali, a nawet przyjaźnili. Do obozu był, podobnie jak ja, skierowany transportem z „Czerwonej Krowy”. Znał dobrze język niemiecki i dlatego został starszym celi. Po przeniesieniu mnie do obozu w Siegburgu, już więcej w obozach się nie spotkaliśmy. Spotkaliśmy się dopiero po powrocie z obozów w 1945 roku. Krótko po tym Lucjan został moim szwagrem, poślubiając Wandę, którą już dobrze znał z czasów przedwojennych.

Lucjan jako sztubowy nie był zły, natomiast starszy bloku (blokowy) Białek był apodyktycznym i stronnictwym człowiekiem. Nie uznawał żadnego sprzeciwu ze strony więźniów. Nie można było się przed nim z niczym użalić, zawsze uważał, że kapo, względnie sztubowy miał rację.

Początkowo każdy z nas miał swoje łóżko, później, w miarę napływu większej liczby więźniów, na łóżko przypadały dwie osoby. Łóżka były piętrowe. W tej sztubie nie było ani żadnej umywalni, ani żadnych sanitariatów. Sanitariaty były na zewnątrz baraku.

Mycie poranne odbywało się na zewnątrz baraku, tam było takie duże koryto z kranami i zimną wodą. Myliśmy się tam bez względu na pogodę, latem i zimą.

Ubikacja była obok. Były to takie drągi i wykopany głęboki dół. Musieliśmy tam bardzo uważać, bo jak padał deszcz i było ślisko, można było wpaść do dołu z fekaliami. Taki nieszczęśnik nie mógł wrócić na barak brudny i śmierdzący. Blokowy lub sztubowy zaraz by się nim zajął... Musiał się umyć i wypłukać z tych fekaliiów. Latem było to jeszcze możliwe, ale zimą raczej niewykonalne... Przeważnie takie sprawy kończyły się śmiercią dla danego więźnia. Musiał się wypłukać i umyć, a nie miał możliwości przebrać się w coś suchego. Przy mrozie najczęściej kończyło się to przeziębieniem i dość często było to jednoznaczne z wyrokiem śmierci...

Na noc baraki były zamykane i nikt nie miał prawa wyjść poza blok, a ubikacje były na zewnątrz. Do każdej „sztuby” wstawiano zamykany kocioł i tam można było załatwić tylko „siusiu”, gorzej, jak ktoś miał „poważniejszą” potrzebę i chciałby wyjść w nocy. Nic z tego, trzeba było wytrzymać do rana... Oczywiście, smród od tego w sztubie był niesamowity... Tym bardziej, że trzeba było każdej nocy, w obawie przed nalotami, szczelnie zasłaniać okna, a to też uszczelniało wszelkie otwory...

Rozkład dnia był podobny w znacznym stopniu do rozkładu w Papenburgu. Pobudka była gdzieś około wpół do szóstej, ścielenie łóżek, później mycie, śniadanie i skorzystanie z ubikacji. Śniadanie było przynoszone na każdą sztubę. Każdy otrzymywał porcję chleba, około 200 g i co 2–3 dni kawałek margaryny lub końskiej kiełbasy, czasem wątrobianki. Do tego była zupa lub czarna kawa. Kawa, chociaż niesmaczna, miała tę zaletę, że była ciepła. Każdy chętnie ją wypijał, bo innych płynów nie było.

Po śniadaniu był krótki apel i formowanie kolumn do wyjścia. Ja pracowałem przy budowie autostrady. Kolumny robocze liczyły od 30 do 40 osób i na to był przydzielony jeden strażnik, przy większej liczbie więźniów – dwóch... Szliśmy, w zależności od potrzeb, 2–3 km. Tych, którzy pracowali dalej, dowozili samochodami.

Na placu budowy były małe baraczki, w których były narzędzia. Każdy z nas otrzymywał je w zależności od tego, do jakiej pracy został przydzielony. Ja byłem przydzielony do tzw. *Schachtkommando*, tzn. do tych, którzy kopali. Zasadniczym naszym zadaniem było niwelowanie gruntu. Jeżeli na trasie przyszłej autostrady znalazła się jakaś góra, to musieliśmy tę górę „skopać” i doprowadzić do wyrównania terenu. Ładowaliśmy więc ziemię na „lorki”, takie małe wagoniki, którymi ziemia była przewożona w dolinę, gdzie były zasypywane doły, bagna itp. Praca w morderczym tempie trwała przez 10–12 godzin dziennie, z niedzielą (do południa) włącznie. Każdy musiał wyrobić swoją normę... A norma, to załadować jedną „lorkę” we dwie osoby, w ciągu pół godziny. Jeśli się trafiło na ziemię miękką, to było do wykonania, tym bardziej, że jeszcze w tym czasie mieliśmy dosyć siły, bo byliśmy nie tak dawno przywiezieni do obozu. Z czasem, w miarę utraty sił i pogorszenia się struktury gruntu, norma stawała się trudna do wykonania.

Ładowane lorki były ciągnięte przez takie małe lokomotywy spalinowe i przewoziły „urobek”, zależnie od potrzeb, 1–2 km. Tam byli inni więźniowie, którzy wyładowywali ziemię, wyrównywali ją i tworzyli podstawy przyszłej autostrady.

Pracę naszego komanda nadzorował strażnik, esesman, starszy człowiek, uczestnik I wojny światowej. Jak na Niemca, był dość dobrym człowiekiem. Owszem, żądał dobrego wykonania pracy i posłuszeństwa, ale nie wyżywał

się na więźniach. Nigdy nie rozstawał się ze swoim karabinem i teczką, w której miał jedzenie. Widocznie pozostały mu stare, wojenne nawyki, że prawdziwy żołnierz musi mieć zawsze pod ręką broń i jedzenie. Kiedyś obserwując nasze zmagania z „lorką”, której nie mogliśmy ustawić na torach, odezwał się do mnie:

- Dlaczego nie weźmiecie jakiegoś klocka i nie zastosujecie dźwigni...
- Pewnie, że to by nam ułatwiło, ale przecież nie możemy się nigdzie oddalać, a jakieś drewno można znaleźć tylko tam, przy składzie... – odruchowo powiedziałem to wszystko po niemiecku. Był zaskoczony moją odpowiedzią nie mniej niż my, bo przecież w tym momencie, gdyby ktoś z nadzoru zauważył, że rozmawia z więźniami, miałby poważne kłopoty...
- Skąd znasz tak dobrze język niemiecki...? – zapytał zdziwiony.
- Ze szkoły... Uczyłem się go kilka lat... – odpowiedziałem.
- No, tak... – przytaknął i rozejrzał się po terenie. Widocznie, w tym momencie zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie ryzykuje. – No, to do roboty...
- dodał znacznie ostrzejszym tonem.

Na drugi dzień, gdy tylko rozpoczęliśmy pracę, podszedł do nas bliżej i wskazując na mnie, powiedział:

- Ty... Chodź tu do mnie... – podszedłem i zameldowałem się moim numerem.
- Od dziś będziesz opiekował się moją teczką... Oczywiście, nie zaniebując swojej pracy...
- Tak jest... – odpowiedziałem krótko.

Od tego czasu nosiłem mu tę teczkę z jedzeniem wszędzie, gdzie tylko pracowało nasze komando. Pewnie ta teczka też mu sprawiała kłopot, bo jak to wygląda strażnik z karabinem i teczką... Wcześniej czy później ktoś z wizytujących przełożonych zwróciłby na ten nietypowy widok uwagę. Natomiast dla mnie ta teczka była zbawienna... Jako starszy człowiek miał już trudności z jedzeniem, a w szczególności z pogryzieniem skórek... Tam, gdzie spożywał swoje śniadanie, czasem w specjalnej budce strażników, a czasem po prostu siadając na kamieniu, to zawsze zostawiał swoją teczkę, a na niej skórki od chleba i inne rzeczy, których nie mógł pogryźć. Co ciekawe, nigdy nie zjadł wszystkiego, bez względu na to, co tam miał naszykowane, ale też nigdy nie powiedział, żebym to zjadł. Po prostu nigdy więcej ze mną nie rozmawiał. Czasem tylko wzrokiem pokazał mi, że tam coś jest... Ja to bardzo chętnie zjadałem, bo to było dodatkowe jedzenie i dodatkowe siły, a w obozie tego jedzenia było przecież tak mało...

Jeśli komando pracowało trochę dalej od obozu, to tam jedzenie dowożono. A jeżeli pracowaliśmy bliżej, tak do 1 kilometra, to na obiad wracaliśmy do obozu. Nasze komando było około 2–3 kilometrów od obozu, więc

jedzenie dowożono nam w takich przykrywanych kotłach. Jak na pracę, którą wykonywaliśmy, to jedzenia było tragicznie mało, bo zaledwie około litra zupki na jednego... Jak się miało szczęście, to czasem trafiło się na gęściejszą zupę i 3–4 kartofle... Czasami znalazł się też skrawek jakiegoś mięsa, albo jakiś inny małeńki ochłap. Najczęściej jednak była to woda z brukwią lub szpinakiem, czy też burakami i rozgotowane liście.

Po obiedzie, który trwał około pół godziny, menażki bez umycia zostawialiśmy na placu budowy. Ustawialiśmy je w jednym miejscu i jak szliśmy do obozu, to dopiero zabieraliśmy.

Zaczęły bardzo dokuczać nam warunki atmosferyczne. Wiatry i zimno panujące w tym okresie powodowały przeziębienia i różne inne choroby. Tym bardziej, że z nastaniem zimy nie otrzymaliśmy ani ciepłej bielizny, ani ciepłych ubrań. Dodano nam, co prawda, taki lekki płaszcz – pasiak, ale nie dawał on żadnego ciepła. Dobrze było, gdy udało się gdzieś skombinować trochę papieru z worka po cementie i włożyć pod bluzę czy pod spodnie, ale kary za to były straszne...

Najbardziej jednak dokuczał nam nasz kapo i jego najbardziej się obawialiśmy. Sadysta nie człowiek... Uwielbiał znęcać się nad nami... Jeśli, na przykład, naładowana „lorka” była źle ustawiona na szynach i wyskoczyła z torów, to musieliśmy ją z powrotem wstawić, a kapo wtedy szalał... Krzyczał, wyzywał, bił i był znacznie gorszy od niejednego ze strażników...

Po pewnym czasie, gdzieś pod koniec 1941 roku, zaczęto powoływać do wojska Niemców, zatrudnionych przy obsłudze niektórych maszyn i urządzeń. Rezerwy ludzkie potężnej III Rzeszy zaczęły się wyczerpywać i trzeba było sięgnąć po ludzi starszych, mniej sprawnych i do tej pory wykonujących różne funkcje pomocnicze.

Dla niektórych więźniów powstawały możliwości „awansu”, bo część z tych stanowisk obsadzano więźniami. Ja miałem szczęście, bo w drodze właśnie takiego „awansu” dostałem się na hamulcowego. To może brzmi dziś śmiesznie, ale w warunkach obozowych taki awans mógł oznaczać przeżycie... Zadaniem moim od tego momentu było siedzieć na końcu składu „lorek” i nie dopuszczać do zbyt dużej szybkości przy zjeżdżaniu z „urobkiem”. Moja nieuwaga mogła spowodować katastrofę i przerwę w budowie. Więc siedziałem sobie spokojnie na ostatniej lorcie i uważałem na szybkość składu, a najważniejsze, że nie musiałem harować łopatą...

Minęły znów może 3–4 miesiące, gdy powołano z naszej budowy następnych Niemców do armii. Tym razem powołano tzw. *Lokführerów*, czyli maszynistów lokomotywek. W ekspresowym tempie zostałem przeszkolony właśnie na takiego prowadzącego lokomotywkę. Ten następny „awans” miał przede wszystkim taką zaletę, że nie musiałem siedzieć na „lorce”, bez

względem na warunki atmosferyczne, a siedziałem w „przytulnej” i osłoniętej lokomotywie.

Na końcu trasy mojej lokomotywki znajdowało się tzw. *Baubüro*, w którym pracował inżynier nadzorujący budowę. Moim obowiązkiem było też od czasu do czasu przeprowadzić tam obsługę techniczną lokomotywki, czyli uzupełnić paliwo, dokonać przeglądu, coś tam nasmarować. Inżynier, o którym wspomniałem, miał niezły motocykl, taką „dekawkę”... A muszę przyznać, że motocykle zawsze mnie bardzo pociągały. Zajęty swoimi sprawami nieraz z zazdrością patrzyłem, jak inżynier dosiada swego „rumaka”.

Kiedys robiąc swój „przegląd” zauważyłem, że ta piękna maszyna inżyniera stoi ubłocona do niemożliwości. Żal mi się zrobiło tego cacka. Wziąłem kilka szmatek i bez żadnego polecenia go wyczyściłem. Wyglądał jak nowy... Wsiadłem do mojej lokomotywki i odjechałem. Jak się później dowiedziałem, inżynier dopytywał się, kto to tak pięknie zrobił. No i ktoś mu powiedział, że ten więzień jeżdżący lokomotywką.

Gdy następnym razem podjechałem pod *Baubüro*, wyszedł do mnie, chwilę mnie obserwował i wreszcie odezwał się:

- Czy to ty bez pytania dotykałeś się mojego motoru...? – zapytał.
- Przepraszam, ale był taki brudny... – przestraszyłem się, że zamiast pochwały mogę coś „na grzbiet” oberwać za tzw. nadgorliwość.
- No... Tak... Trochę był...
- Myślałem, że pan inżynier się nie pogniewa... – mówiłem, nie będąc pewny do czego zmierza.
- Dobrze... Ponieważ zrobiłeś to bez pytania... – zdrętwiałem, słysząc te słowa – to... będziesz miał teraz taki obowiązek... Motor ma być zawsze czysty... Jasne...

Obserwując go zauważyłem, że przy ostatnich słowach, coś jakby się uśmiechnął... Od tego dnia byłem stale zobowiązany do czyszczenia tego motoru. I znów była taka sytuacja, jak ze strażnikiem z teczką... Zawsze przychodząc do motocykla mogłem znaleźć coś do zjedzenia. Zostawiał przy tym motocyklu, ale nigdy nic nie dał mi bezpośrednio do ręki... Mimo że był cywilem, bał się bezpośrednio rozmawiać z więźniem, albo mu coś podawać do ręki... Bał się, że ktoś może na niego donieść do przełożonych, że on nawiązuje jakieś kontakty z więźniami lub im pomaga...

Zdarzały się przypadki życzliwości ze strony ludności cywilnej. Na przykład jadąc kilka kilometrów składem wagoników, zdarzało się, że ktoś coś tam wrzucił, chleb lub coś innego do zjedzenia... Były to jednak bardzo sporadyczne przypadki pomocy więźniom, być może z obawy przed konsekwencjami...

Wieczorem, po powrocie do obozu był apel, później kolacja, odwszawianie, mycie, przegląd i jakieś pół godziny wolnego. W tym czasie mogliśmy

też ze sobą porozmawiać. Oczywiście rzadko to bywało, bo częściej w tym czasie esesmani robili nam różnego typu ćwiczenia. Szczególnie znany był ze swego okrucieństwa i troski o „odpowiednie” zagospodarowanie czasu niejaki esesman Kotecki. Pochodził z okolic Torunia i znał trochę język polski. Później mieszkał w Niemczech, gdzieś w Nadrenii i tam alianci zbombardowali jego dom. Mścił się za to na bezbronnych więźniach... Bił za byle co, np. za nieoddanie mu honoru, za wygląd, za spojrzenie, za niestaranność... Zawsze znalazł jakiś powód, by wyładować swoją nienawiść... Gdy mu oddawaliśmy honor na głównej drodze obozowej, trzeba było wykonać wszystko zgodnie z regulaminem, a nawet lepiej... Trzeba było siedem, osiem metrów przed nim zdjąć czapkę, ręce przyłożyć do bioder i patrzeć na niego, przejść sztywno... i dopiero 3–4 metry za nim założyć czapkę. Kto tego nie zrobił albo, według Koteckiego, zrobił to mało starannie, miał poważny kłopot... Kotecki zatrzymywał takiego więźnia i znęcał się nad nim; bijąc, opluwając, wymyślając, a także wymuszając robienie różnych ćwiczeń „sportowych”, jak żabki, pompki i inne...

Życie w baraku w znacznej mierze zależało od więźniów funkcyjnych. Na przykład, nasz sztabowy był Polakiem i człowiekiem dość dobrym. Był wyrozumiały, łagodny i nigdy na nikim się nie mścił. Jako *Vorarbeiter* chodził razem z nami do pracy i tam starał się sprawiedliwie obliczać wykonane normy, a często też pomagał słabszym, zawyżając faktycznie wykonaną przez nich pracę.

Całkowicie innym człowiekiem był blokowy Białek. Zupełnie nie obchodziło go to, że każdy z więźniów wracał do obozu po całym dniu harówki i często ledwie trzymał się na nogach. Jakaś drobna niedokładność w zaścielonym łóżku i już miał podstawę do znęcania się. Często brał takich nieboraków przed barak i zmuszał za karę do wykonywania różnych ćwiczeń, w tym pompek, żabek i innej musztry niszczącej resztki sił... Robił to bez żadnego zrozumienia doli więźniów i tylko dla własnej przyjemności i satysfakcji...

Pod koniec 1942 roku zaczęliśmy odczuwać brak niektórych materiałów budowlanych, jak np. cementu. A przecież był to podstawowy składnik do produkcji krawężników i „podkładu” pod budowę autostrady. Budowa już nie szła tak sprawnie, jak dotychczas. No i w końcu, zimą z 1942 na 1943, musiano niektóre odcinki budowy całkowicie zatrzymać. Nie wychodziliśmy wtedy do pracy, bo nie było co i czym robić. W tej sytuacji podjęto decyzję skierowania części więźniów do fabryki sztucznej wełny, tzw. *Zellwolle*² w Siegburgu. W tej grupie znalazłem się i ja... Gdy dowiedziałem się, gdzie nas mają zamiar

² *Zellwolle* – wełna celulozowa (sztuczna wełna).

przewieźć, zapytałem mojego inżyniera, co to jest Siegburg... W odpowiedzi tylko machnął ręką... Wynikało z tego, że nie szykuje się nic lepszego³.

Inną część więźniów skierowano do obozu w Ulm, do budowy lotniska.

W Siegburgu zamieszkaliśmy w trzech barakach, zaraz przy fabryce. Były to baraki mniejsze i mieszczące około 150 więźniów. Sztubowym na moim baraku był więzień trochę starszy niż ja. Nazywał się Jasiu Białożyński i pochodził ze Skoków koło Poznania. On również chodził z nami do pracy.

W fabryce zostałem przydzielony do maszyny wytwarzającej sztuczną wełnę. Praca moja polegała na obsłudze potężnej maszyny, miała może 8–10 metrów długości, która przepuszczając masę celulozową przez dyszę zanurzoną w jakimś kwasie wytwarzała coś w rodzaju grubego sznura, nawijając go potem na bęben. Inna maszyna cięła ten sznur i po dalszej obróbce robiła z tego sztuczną wełnę. Głównie trzeba było uważać, by nie doszło do zapchania się dysz, bo wtedy cała produkcja stawała. Trzeba było wymieniać dysze, czyścić je i wykonanie normy stało pod znakiem zapytania.

Praca ta byłaby dość znośna, gdyby nie trujące opary kwasów, które były na całej hali, a w szczególności bezpośrednio przy samej maszynie. Pracowaliśmy tam po osiem godzin dziennie na trzy zmiany. Niemcy z nadzoru i specjaliści pracowali też na zmiany, ale tylko po 6 godzin i na cztery zmiany. Praca trwała na okrągło, bez żadnego odpoczynku. Do tej pracy mieliśmy przydzielone specjalne ubrania kwasoodporne. Nie wiem, z czego były zrobione, ale spełniały swoją rolę. Na nogach mieliśmy buty gumowe, na rękach rękawice gumowe i do tego okulary ochronne.

Dodatkowym niebezpieczeństwem była możliwość zapalenia się tworzonego „sznura” od jakiejś przypadkowej iskiej z maszyny. Zapchanie się dysz w zasadzie nie groziło poważniejszymi konsekwencjami, chociaż „grzebanie” w kwasach, przy jej czyszczeniu lub wymianie, do przyjemnych nie należało...

Prawdę mówiąc, dzięki tym zapychającym się dyszom, poznaliśmy bliżej panie pracujące w magazynie współpracującym z nami. Idąc z dyszą do wymiany zawsze była możliwość zamienienia kilku słów z rodaczkami. Pracownicy magazynu prócz typowej pracy magazynowej zajmowali się także przywracaniem zapchanych dysz do dalszej używalności. Polegało to głównie na jej dokładnym oczyszczeniu z resztek celulozy.

W hali produkcyjnej stało 12 takich potężnych maszyn jak moja. Ja pracowałem na nr 12, czyli na ostatniej, w końcu hali. Sąsiednią maszynę, czyli nr 11, obsługiwał mój kolega Józio Komisarek. To był świetny układ... Dobrze było mieć kogoś w pobliżu, komu można było zaufać i porozmawiać.

³ W lecie 1941 r. wszystkich Żydów z Siegburga i okolic umieszczono w obozie, gdzie przebywali przez rok. W drugiej połowie lipca 1942 r. wszystkich wywieziono w kierunku wschodnim. Zniszczona została, licząca ponad 600 lat, gmina żydowska w tym mieście.

A Józio był mi bardzo dobrze znany już z poprzedniego obozu przy budowie autostrady. Pochodził on z Kostrzyna Wielkopolskiego koło Poznania, a więc z Wielkopolski jak i ja. To nas bardzo zbliżyło...

Majstrem naszym był niejaki Szmyt, którego przeżywalismy między sobą „Kulas”, bo gdzieś na wojnie był ranny i kulał. Nie był złym człowiekiem, w odróżnieniu od pilnujących nas esesmanów, których nazwisk już dziś nie pamiętam. Esesmani ci zawsze stali przy wejściach i wyjściach z hali. Inne drzwi i okna były zawsze zamknięte.

W magazynie współpracującym z nami pracowały dwie panie... Jedna to Halinka, której nazwiska nie pamiętam, Ślązaczka, i druga – Halina Maros, z domu Kwapiszewska, warszawianka, która również pełniła obowiązki porządkowej w tym magazynie. Obie te panie były robotnicami przymusowymi. Panie te odnosiły się do nas bardzo serdecznie, bo wiedziały, jak jesteśmy traktowani i co się z nami robi. Z tymi paniami nawiązaliśmy bliższe kontakty i zaprzyjaźniliśmy się...

Gdzieś tak po trzech, może czterech miesiącach pracy, więźniowie zaczęli nagminnie chorować. Część z nich szybko „muzułmaniała”⁴ – nie mogli już chodzić o własnych siłach i wymagali opieki drugiej osoby. Najgorsze było to, że te kwasy i szkodliwe wyziewy powodowały jakieś uszkodzenia mózgu i powstawanie obłądów... Być może do tego dochodził brak odpowiedniego wypoczynku i wyżywienia. Pracując na trzy zmiany nie mogliśmy wypaść się po nocnej zmianie, bo w tym czasie inne zmiany szykowały się do pracy i przeszkadzały. Byliśmy przemęczeni z niewyspania. Ciągłe ktoś miał jakieś napady szału, wariacji... A najgorzej, że i ci „normalni” zaczęli majaczyć. Po prostu ludzie w tych warunkach tracili zmysły... Modlili się, przeklinali i ogólnie mówiąc, wariowali... Ja z Józiem na razie nie odczuwaliśmy żadnych niepokojących oznak, ale zaczęło to nas bardzo niepokoić. A co będzie, jak i nas zaatakuje choroba...?

Pewnego dnia, obserwując zachowanie kilku więźniów na sztubie, zbliżył się do mnie Józio i mówi:

– Norbert... Czy nie uważasz, że coś ostatnio coraz więcej robi się tych „muzułmanów”...?

– I tych szalonych... – dodałem. – Masz rację... Myślę, że Niemcy zatają przed nami prawdę o tych oparach kwasu...

– To możliwe... Wyposażyli nas w odzież ochronną i uważają, że to załatwia sprawę... Zresztą... Mają w nosie nasze zdrowie... Po nas, jak się wykończymy, przyjdą nowi więźniowie... – całkiem słusznie zauważył.

⁴ Nazwą „muzułman” (a nie muzułmanin) określało się więźnia, który był w stanie skrajnego wyniszczenia fizycznego i prostracji psychicznej. To ten, który „jeszcze za życia przekroczył próg umierania”. Zjawisko to w takim zakresie powstało dopiero w obozach hitlerowskich.

– Ciekawe... Dlaczego nie wyposażyli nas w maski...? Przecież na oko widać, że te kwasy są bardzo żrące, więc i ich opary muszą być takie same...

– Człowieku... Maski więźniom... Nie bądź śmieszny... – powiedział, wyraźnie poirytowany. – Ty jesteś tańszy niż taka maska...

– Józiu... Czy nie uważasz...?

– Tak... Uważam... – przerwał mi w pół zdania. – Ale, jak ty sobie to wyobrażasz...?

Musieliśmy przerwać, bo w naszym kierunku szedł sztabowy, a lepiej było nie ryzykować dzielenia się swoimi myślami z ludźmi nie do końca pewnymi. Ale wniosek z tej rozmowy był jasny i zapadł głęboko w naszych umysłach. Dalszy nasz pobyt w tym obozie i praca w tych warunkach skończy się dla nas tragicznie... Trzeba zastanowić się nad ucieczką... Trzeba przyznać, że początkowo nawet samo myślenie o tym wywoływało „ciarki” na plecach. Widzieliśmy już nieraz, czym się kończyły takie próby...

Ponieważ nasze maszyny stały obok siebie, mogliśmy czasem z Józiem zamienić ze sobą kilka słów, a także udzielać sobie pomocy w sytuacjach awaryjnych. Było to na tyle normalne, że nawet nasz majster Szymt po cichu to akceptował. Wiedziałem, że każdy z nas oddzielnie myśli nad planem i możliwością ucieczki... Kiedyś, gdy nie było w pobliżu nas „Kulasa” podszedłem do Józia.

– Słuchaj... Zwróć no przez chwilę uwagę na moją maszynę... – powiedziałem, ścisząc głos.

– A ty...? Co chcesz zrobić...? – zapytał zaniepokojony.

– Józiu... Patrz, tam za moją maszyną na końcu hali jest taki „dekiel”...

– No, jest... Jest, bo tam schodzą się rury ściekowe od wszystkich maszyn... – przerwał mi nie czekając na to, co chcę powiedzieć.

– Czekaj... Spokojnie... Przypilnuj maszyny, a ja zobaczę, czy to się nie da jakoś otworzyć... I co jest dalej...

– Ścieki... Maszynowe ścieki... – uśmiechnął się i ze zdziwieniem w oczach obserwował mnie. – No, tyle to chyba jeszcze potrafisz sobie wyobrazić...

– Słuchaj... Sprawdzę tylko, co jest dalej...

– Jasne... Idź, tylko uważaj, żebyś nie stracił tam czasem nóg... Tam są ścieki tych samych kwasów, które mamy w korytach... Nie rozumiesz...? – przekonywał.

– Mimo to... Chcę to sprawdzić... – powiedziałem bez przekonania i skierowałem się do tajemniczego „dekla”.

Bez większego problemu otworzyłem przykrycie wjazdu i wszedłem skulony do kanału. Opary kwasu były tu tak intensywne, że prawie nie mogłem oddychać. Ponadto było ciemno i drapało w gardło. Musiałem chwilę odczekać, by chociaż trochę przyzwyczaić wzrok do istniejących ciemności...

Coraz bardziej drapało w gardle i w nosie, ale najniebezpieczniejsze płynęło na dnie kanału. Wiedziałem, że muszę tak iść bokami, by nie stanąć w płynącą ciecz, która mogła być rozwodnionym kwasem, ale nadal o silnym i niebezpiecznym działaniu... Był moment, że chciałem już zrezygnować i powrócić. Bałem się, że stracę oddech i przytomność, upadnę w te kwasowe ścieki i będzie po wszystkim...

Po kilkudziesięciu metrach sytuacja wyraźnie się poprawiła... Kanał z naszej fabryki łączył się ze znacznie większym, tzw. kanałem burzowym. Nadal unikałem kontaktu ze ściekami i posuwałem się zgodnie z kierunkiem ich płynięcia. Po pewnym czasie zobaczyłem małe rozjaśnienie, a po chwili wiedziałem już, że zbliżam się do końca kanału... Tylko, co jest na tym końcu...? Gdzie odprowadzane są te ścieki...? Czy tam przypadkiem nie ma większego zagrożenia niż w fabryce...? Okazało się, że moje obawy są nieuzasadnione... Kanał burzowy, którym się posuwałem, kończył się niezabezpieczonym ujściem do rowu odwadniającego... Wkoło drzewa i spokojny świat, wolny świat... Kilka wdechów zdrowego powietrza i szybko z powrotem...

Gdy zamknąłem „dekiel” i podszedłem do Józia, ten wyraźnie zdenerwowany, powiedział:

– No, wiesz... Myślałem już, że nie wrócisz... Że się rozpułyłaś... Tyle czasu cię nie było...

– Józiu, spokojnie... A tu, wszystko w porządku...? – zapytałem z udawanym spokojem.

– Przecież widzisz... Mów wreszcie, co zobaczyłeś w tym kanale...

Oczywiście w dużym skrócie, opowiedziałem mu o moim rekonesansie i zakończyłem stwierdzeniem:

– Józiu... Mamy już drogę ucieczki...

– Wiesz... Ja też wczoraj coś zrobiłem w tej materii... – powiedział tajemniczo.

– W czym...?

– Mówię o ucieczce...

– Nie...? Myślałeś też o ucieczce...? – pytałem z udawanym zdziwieniem w głosie.

– Przestań... Rozmawiałem z naszymi znajomymi paniami, czy mogłyby załatwić jakieś cywilne ciuchy i coś do jedzenia...

– Nie...? Rozmawiałeś z nimi...? I co...? – dopytywałem, zaciekawiony.

– Boją się...

– Wcale im się nie dziwię... Popracuj nad nimi i spróbuj je jakoś przekonać... Są naszą szansą, bo inaczej bez cywilnych ciuchów daleko nie zajdziemy...

– To fakt...

W ten sposób, nie tylko że obaj ostatecznie zaakceptowaliśmy myśl o ucieczce, ale również przyjęliśmy wstępny plan realizacji tego pomysłu. Rozpoczęliśmy przygotowania...

Na początek zajęliśmy się naszymi znajomymi. Początkowo bały się wziąć udział w tym przedsięwzięciu, bo groziło im za to znalezienie się w obozie. Obecnie, jako pracownice przymusowe miały swobodę i znośne warunki bytowania. Ryzykowały dużo... Przekonywaliśmy je, że jest to dla nas jedyny ratunek przed zupełnym „zmuzułmanieniem”, że jeżeli jeszcze zaczekamy i stracimy resztkę sił, to wtedy będzie już za późno na jakiekolwiek działanie...

W końcu nasze rozmowy odniosły pozytywny skutek. Z narażeniem życia i wolności, przemyciły dla nas na teren fabryki ubrania i chleb, którego same pewnie nie miały zbyt dużo. Do dziś nie znam szczegółów tego, jak im się to udało. Po pierwsze załatwić te ciuchy, a po drugie oszukać kontrolę w bramach wejściowych i wejść z tym na halę... Byliśmy im za to bardzo wdzięczni...

Teraz czekaliśmy tylko na odpowiednią okazję...

Na pewnej nocnej zmianie postanowiliśmy z Józkiem, że nie możemy już dłużej czekać, trzeba uciekać... Poprosiliśmy kolegę, który stał obok, by na chwilę przypilnował naszych maszyn.

Szybko zeszliśmy do kanału i zamknęliśmy pokrywę, by z zewnątrz nie było żadnego śladu, że tam ktoś wszedł... Po przejściu kilku kroków, szybko przebraliśmy się w cywilne „ciuchy”, pozostawiając nasze wysłużone ubrania „obróbce kwasowej” w kanale... Szliśmy tym kanałem około 200–300 metrów. Było już około północy, gdy wyszliśmy na otwarty teren, poza fabryką...

Początkowo nie mogliśmy się zorientować, w jakim kierunku iść, a potrzebowaliśmy dostać się na dworzec... Nieraz słyszeliśmy, że tam jakieś pociągi jeżdżą. Doszliśmy w końcu na stację, i staraliśmy się zorientować, czy jakiś pociąg nie jedzie w kierunku wschodnim. To było, trzeba przyznać, niebezpieczne przedsięwzięcie... Widząc mężczyznę w kolejowym mundurze, podszedłem do niego i opowiadając naprędce wymyśloną historyjkę o konieczności dostania się do miejscowości na trasie... zapytałem, czy nie ma jakiejś możliwości dostania się tam prędzej, nie czekając na planowy, osobowy pociąg... Był bardzo uprzejmy i bez większych problemów wskazał nam stojący na bocznicę pociąg towarowy, mówiąc, że ten właśnie skład za chwilę wyjeżdża w kierunku naszej stacji.

Wskoczyliśmy do budki hamulcowego i z niepokojem czekaliśmy, co będzie dalej... Po kilku minutach pociąg ruszył...